

## BREE

Zarzuciłam plecak na ramię, sięgnęłam po stojący na fotelu pasażera nieduży psi transporter i zamknęłam za sobą drzwi samochodu. Przez chwilę stałam nieruchomo, wsłuchana w odbijające się wokół echem poranne melodie świerszczy, prawie, choć nie całkiem, zagłuszające cichy szum drzew. Niebo nade mną było intensywnie niebieskie, a pomiędzy dachami błyskała tafla jeziora. Mrużąc oczy, spojrzałam na biały domek, w którego oknie wciąż tkwiła tabliczka z napisem „Do wynajęcia”. Był zdecydowanie starszy od pozostałych, lekko zaniedbany, miał jednak swój urok i od razu mi się spodobał. Wyobraziłam sobie, jak przesiaduję wieczorami na niedużym ganku i patrzę na kołysane wiatrem gałęzie drzew i wschodzący nad jeziorem księżyc, wdychając zapach wody i sosnowych igieł. Uśmiechnęłam się pod nosem z nadzieją, że wewnątrz domek okaże się równie uroczy lub że przynajmniej zastanę tam względny porządek.

– Co ty na to, Phoebis? – zapytałam cicho.

Z transportera dobiegło pełne uznania sapnięcie.

– Też tak myślę – stwierdziłam.

Obok mojego volkswagena beetle'a zaparkował wysłużony sedan. Wysiadł z niego starszy łysiejący mężczyzna.

– Bree Prescott?

– To ja. – Zbliżyłam się z uśmiechem i uściśnęłam mu dłoń. – Pan Connick, prawda? Dziękuję, że tak szybko pan przyjechał.

– Proszę, mów mi George. – Spojrzał na mnie wesoło i oboje ruszyliśmy w stronę chatki, wzbijając w powietrze chmury ziemi i sosnowych igieł. – Nie ma sprawy. Jestem już na emeryturze, więc nie mam napiętego grafiku. – Wspięliśmy się na ganek po trzech drewnianych schodkach. George wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i zaczął szukać właściwego. – Proszę bardzo. – Przekręcił klucz i otworzył drzwi.

Za progiem powitał mnie zapach kurzu z lekką nutką stęchliny. Rozejrzałam się.

– Żona wpada tu, kiedy tylko może, żeby zrobić małe porządki, ale jak widzisz, przydałoby się przejechać ścierką tu i tam. Normie, biedaczce, wlał artretyzm w biodro, więc nie zasuwa już tak jak kiedyś. A dom całe lato stał pusty.

– Jest okej. – Uśmiechnęłam się do niego, stawiając przy drzwiach transporter z Phoebe, po czym ruszyłam w stronę pomieszczenia, które zidentyfikowałam jako kuchnię. Nie wyglądało na to, że wystarczy przejechać tu ścierką – wewnątrz wymagało gruntownych porządków. Ale spodobało mi się od razu. Było staroświeckie i pełne uroku. Gdy odchyliłam kilka płacht materiału, okazało się, że ukryte pod nimi meble, choć podniszczone, są w dobrym guście. Zwróciłam uwagę na piękną podłogę z szerokich drewnianych desek i subtelne, uspokajające kolory ścian.

Sprzęty kuchenne wydały mi się nieco przedpotopowe, ale nie miałam wielkich wymagań. Nie byłam pewna, czy jeszcze kiedykolwiek wrócę do gotowania.

– Z tyłu domu są sypialnia i łazienka... – zaczął objaśniać George.

– Biorę – przerwałam mu, po czym się roześmiałam i lekko potrząsnęłam głową. – To znaczy, oczywiście, jeśli oferta jest wciąż aktualna.

George zachichotał.

– Świetnie. Przyniosę z samochodu umowę najmu i możemy zaraz wszystko załatwić. Kaucja to czynsz za pierwszy i ostatni miesiąc, ale jeśli to będzie problem, możemy negocjować.

Pokręciłam głową.

– Żaden problem. Brzmi w porządku.

– W takim razie zaraz wrócę.

Kiedy wyszedł, zjrzałam do sypialni i łazienki. Metraż miały niewielki, ale w zupełności wystarczający. W sypialni moją uwagę przykuło duże okno wychodzące na jezioro. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na widok małej przystani wcinającej się w spokojną, lśniąca, oszałamiająco niebieską w jasnym świetle poranka taflę wody. W dali kołysały się dwie łódki, małe punkciki na tle horyzontu.

Kiedy tak patrzyłam, niespodziewanie zachciało mi się płakać, ale nie ze smutku – z r a d o ś c i. To pragnienie minęło równie szybko, jak się pojawiło, pozostawiając we mnie dziwną nostalgię, której kompletnie nie potrafiłam wytłumaczyć.

– Proszę bardzo. – Głosowi George'a Connicka towarzyszył szcęk zamykanych drzwi. Wysłałam z sypialni, gotowa zająć się papierami, które sprawią, że przynajmniej na jakiś czas nazwę to miejsce domem – i pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że odnajdę tu nieco spokoju.

\*

Norma Connick zostawiła w chatce cały arsenał środków czyszczących, więc wytaszczyłam walizkę z samochodu i od razu zabrałam się do roboty. Trzy godziny później odgarnęłam z oczu

wilgotny kosmyk włosów i cofnęłam się o kilka kroków, by podziwiać swoje dzieło. Drewniane podłogi były odkurzone, znalezione w szafie w przedpokoju pościel i ręczniki – wyprane i wysuszone w małej pralce ustawionej obok kuchni, a łóżko pościelone. Kuchnia i łazienka lśniły, a przez pootwierane na oścież okna wpadał do środka letni wietrzyk znad jeziora. Być może nie zagrzeję tu miejsca, ale na razie byłam zadowolona.

Wyciągnęłam z walizki wrzucone tam byle jak kosmetyki i ustawiłam je w szafce nad umywalką, po czym wzięłam kojący, chłodny prysznic, by zmyć z siebie znużenie po długich porządkach i jeszcze dłuższej jeździe samochodem. Podzieliłam szesnastogodzinną podróż z mojego rodzinnego w Cincinnati w Ohio na dwa ośmiogodzinne odcinki. Pierwszą noc spędziłam w niewielkim przydrożnym motelu, drugą zaś – za kierownicą, by rano być już na miejscu. Dzień wcześniej zatrzymałam się w małej kafejce internetowej w Nowym Jorku, żeby poszukać nieruchomości do wynajęcia w mieście, do którego jechałam. Okazało się, że to popularny ośrodek turystyczny, w związku z czym po ponad godzinie poszukiwań najbliższym punktem, w którym udało mi się coś znaleźć, było niewielkie miasteczko Pelion położone po drugiej stronie jeziora.

Wytarłam się, włożyłam czyste szorty i T-shirt i postanowiłam zatelefonować do mojej przyjaciółki Natalie. Odkąd napisałam, że wyjeżdżam, próbowała dodzwonić się do mnie kilka razy, a ja odpowiedziałam tylko esemesem. Byłam jej winna prawdziwą rozmowę.

– Bree? – usłyszałam Nat. W tle brzęczały czyjeś donośne głosy.

– Hej, Nat, przeszkadzam?

– Czekaj. Wyjdę na zewnątrz. – Przykryła dłonią mikrofon, rzuciła do kogoś kilka słów i wróciła na linię. – Nie, skąd! Bardzo chciałam z tobą pogadać! Jestem na lunchu z mamą i cicią.

Poczekają parę minut. Martwiłam się. – W jej głosie zabrzmiała oskarżycielska nuta.

Westchnęłam.

– Wiem, przepraszam. Jestem w Maine. – W esemesie, który do niej wysłałam, napisałam, dokąd jadę.

– Bree, wyjechałaś tak bez słowa. Zdążyłaś się chociaż spać?

– Wzięłam parę rzeczy. Wystarczy.

Prychnęła.

– W porządku. Kiedy wracasz?

– Nie wiem. Pomyślałam, że zostanę tu jakiś czas. Tak czy siak, Nat, nie mówiłam ci, ale trochę brakuje mi forsy. Właśnie sporo wydałam na depozyt za mieszkanie. Muszę poszukać roboty, przynajmniej na parę miesięcy, żeby zarobić na podróż do domu i mieć za co żyć po powrocie.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Nie sądziłam, że jest aż tak źle – powiedziała w końcu Nat. – Ale Bree, skarbie, masz przecież dyplom. Wracaj do domu i wykorzystaj go. Nie musisz się włóczyć po jakimś mieście, w którym nie znasz żywej duszy. Już za tobą tęsknię. Masz przyjaciół. Pozwól sobie pomóc. Kochamy cię. Mogę ci prześłać trochę pieniędzy, jeśli dzięki temu miałabyś szybciej wrócić.

– Nie, nie, Natalie. Naprawdę... Potrzebuję czasu, okej? Wiem, że mnie kochasz. Wiem – powiedziałam cicho. – Ja ciebie też. Ale po prostu muszę to zrobić.

Znów zapadła cisza.

– Czy to przez Jordana?

Przygryzłam wargę.

– Nie, nie tylko. Może to była kropla, która przepełniła czarę, ale nie, nie uciekam przed Jordanem. Tyle że to, co zrobił, było ostatnim, czego potrzebowałam. Po prostu... nie mogłam już tego wszystkiego wytrzymać. Rozumiesz?

– Kochanie, na twoim miejscu każdy miałby dosyć.  
Gdy nie odpowiedziałam, westchnęła i dodała:  
– Czy mam rozumieć, że ta dziwaczna, spontaniczna wy-  
cieczka ci pomogła?  
Poznałam po głosie, że się szczerzy. Zaśmiałam się cicho.  
– W pewnym sensie może i tak. W innym, jeszcze nie.  
– Czyli nie przeszło ci? – szepnęła.  
– Nie, Nat, jeszcze nie. Ale podoba mi się tutaj. Naprawdę –  
zapewniłam ją, siląc się na dziarski ton.  
– Skarbie – odezwała się po chwili. – Skarbie, w grę wcho-  
dzi coś więcej niż zmiana otoczenia, prawda?  
– Nie o to mi chodziło. Po prostu miałam ochotę gdzieś się  
zaszyć na jakiś czas... Rany, muszę kończyć. Mama i ciocia na  
ciebie czekają. Pogadamy innym razem.  
– Dobrze – zgodziła się z wahaniem. – Ale jesteś bezpieczna?  
Umilkłam. Czy kiedykolwiek jeszcze tak się poczuję?  
– Tak, a tu jest przepięknie. Znalazłam domek nad samym  
jeziorem. – Odwróciłam głowę i zerknęłam w okno, po raz ko-  
lejny napawając się cudownym widokiem.  
– Mogę wpaść z wizytą?  
Uśmiechnęłam się.  
– Najpierw muszę się tu trochę urządzić. Może za jakiś czas,  
zanim zacznę się zbierać do powrotu?  
– Okej, umowa stoi. Naprawdę za tobą tęsknię.  
– Ja też. Niedługo zadzwonię, dobrze?  
– Dobrze. Pa, kochana.  
– Pa, Nat. – Rozłączyłam się i podeszłam do okna.  
Zaciągnęłam rolety w mojej nowej sypialni i wgramoliłam się  
na świeżo posłane łóżko. Phoebe zwinęła się w kłębek obok mo-  
ich stóp. Zasnąłam, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki.

\*

Obudził mnie szczebiot praków i szum fal uderzających o brzeg. Przekręciłam się na bok i spojrzałam na zegar. Minęła szósta po południu. Przeciągnęłam się i usiadłam.

Potem wstałam i ruszyłam do łazienki. Phoebe podreptała za mną. Wyszczotkowałam zęby, a wypłukawszy usta, przyrzałam się sobie w lustrzanej szafce nad umywalką. Cienie pod oczami nie zniknęły, choć po pięciu godzinach snu były nieco mniej widoczne. Kilka razy uszczypnęłam się w policzki, żeby nabrały trochę koloru, wyszczerzyłam zęby w szerokim, sztucznym uśmiechu i potrząsnęłam głową. Poradzisz sobie, Bree. Jesteś silna i będziesz jeszcze szczęśliwa. Słyszysz? W tym miejscu jest dobra energia. Czujesz to? Przekrzywiłam głowę i jeszcze przez chwilę patrzyłam na swoje odbicie. Mnóstwo ludzi dodaje sobie animuszu przed lustrem w łazience, prawda? To najzupełniej normalne. Prychnęłam cicho i lekko pokręciłam głową. Przemyślałam twarz, po czym szybkim ruchem spięłam długie jasnobrązowe włosy w niedbały węzeł na karku.

Weszłam do kuchni i otworzyłam zamrażarkę. Wyjeżdżając z domu, zabrałam ze sobą szczątkowe zapasy, które znalazłam w lodówce: kilka dań do odgrzania w mikrofali, mleko, masło orzechowe, chleb i trochę owoców. Będę musiała jak najszybciej poszukać najbliższego spożywczaka.

Włożyłam porcję makaronu z sosem do stojącej na blacie mikrofalówki, a potem zjadłam go na stojąco plastikowym widelcem. Jedząc, wyglądałam przez kuchenne okno i w pewnym momencie zauważyłam starszą panią w błękitnej sukience i z krótką siwą fryzurą, która wyszła z sąsiedniego domu i zbliżała się do mojego ganku z koszykiem w rękach. Kiedy usłyszałam ciche pukanie do drzwi, wyrzuciłam puste już pudełko do śmietnika i poszłam otworzyć.

Starsza pani uśmiechnęła się do mnie serdecznie.

– Dzień dobry, kochanie. Nazywam się Anne Cabbott. Wygląda na to, że jesteśmy sąsiadkami.

Odwzajemniłam uśmiech i przyjęłam koszyk.

– Bree Prescott. Dziękuję. To bardzo miłe. – Uniósłszy róg serwetki, poczułam słodki zapach jagodowych babeczek. – O rany, pachną przepysznie – zachwyciłam się. – Może pani wejdzie?

– Właściwie to chciałam zapytać, czy nie napiłabyś się mrożonej herbaty u mnie na ganku. Właśnie przygotowałam świeżą porcję.

– O... – Zawahałam się. – Dobrze, oczywiście. Tylko założę buty. – Cofnęłam się do wnętrza domu, odłożyłam babeczki na kuchenny blat i wróciłam do sypialni po klapki.

Anne czekała na mnie na skraju ganku.

– Taki piękny wieczór. Codziennie staram się korzystać i spędzać tę porę na zewnątrz. Tylko patrzeć, jak się ochłodzi.

Ruszyłyśmy w stronę jej domu.

– A więc mieszka tu pani przez cały rok? – zapytałam.

Skinęła głową.

– Jak większość ludzi po tej stronie jeziora. Turyści nie interesują się naszym miasteczkiem. To tam mają wszystkie atrakcje. – Machnęła ręką w stronę ledwo widocznych zabudowań na przeciwnym brzegu. – Większości z nas to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Oczywiście wkrótce się to zmieni. Victoria Hale, właścicielka ziemi, na której położone jest miasteczko, ma plany rozbudowy, które i tutaj ściągną stada turystów. – Westchnęła.

Wspięłyśmy się po schodkach na ganek. Anne usiadła w fotelu z wikliny, a ja wybrałam dwuosobową huśtawkę i wygodnie rozparłam się na poduszkach.

Ganek był piękny i po domowemu przytulny, królowały tam białe wyplatane meble i niebiesko-żółte poduszki. Wszędzie stały wylewające się z donic bujnymi kaskadami kwiaty.



– Co pani sądzi o pomysle sprowadzenia tu turystów?

Anne lekko zmarszczyła brwi.

– Lubię nasze ciche miasteczko. Jak dla mnie mogą sobie zostać tam, gdzie są. Wystarczą mi ludzie, którzy pojawiają się tu przejazdem. Poza tym podoba mi się atmosfera prowincji. Podobno mają tu budować osiedle apartamentowców, a to oznacza koniec dla naszych małych domków.

Skrzywiłam się.

– Przykro mi – powiedziałam, ponieważ zdałam sobie sprawę, że będzie musiała się wyprowadzić.

Anne lekceważąco machnęła ręką.

– Będzie dobrze. Bardziej się martwię o właścicieli małych sklepików, którzy będą musieli zamknąć interes.

Pokiwałam głową. Po chwili milczenia wyznałam:

– Jako mała dziewczynka byłam raz z rodzicami na wakacjach po drugiej stronie jeziora.

Anne sięgnęła po dzbanek z herbatą, napełniła dwie szklanki i podała mi jedną.

– Naprawdę? A teraz co cię tu sprowadza?

Upiłam łyk, by zyskać na czasie.

– Wybrałam się na małą wycieczkę – odparłam. – Pamiętam, że bardzo mi się tu podobało. – Wzruszyłam ramionami i spróbowałam się uśmiechnąć, choć wzmianka o rodzinie wciąż powodowała ucisk w gardle. Ponieważ się nie udało, postarałam się o w miarę pogodny wyraz twarzy.

Anne przyglądała mi się przez chwilę. Wreszcie pokiwała lekko głową.

– W takim razie, kochanie, miałaś dobry pomysł. Jestem pewna, że skoro już raz odnalazłaś tu szczęście, odnajdziesz je po raz kolejny. Niektóre miejsca i niektórzy ludzie po prostu do siebie pasują. Tak mi się wydaje. – Uśmiechnęła się serdecznie, a ja odwzajemniłam się tym samym.

Nie zdradziłam jej, jaki był drugi powód; zapamiętałam to miejsce jako ostatnie, gdzie wszyscy troje byliśmy naprawdę beztroscy i radośni. Gdy tamtego lata wróciliśmy do domu, u mamy zdiagnozowano raka piersi. Umarła pół roku później, a my z tatą zostaliśmy sami.

– Jak długo masz zamiar tu zostać? – Słowa Anne wyrwały mnie z zadumy.

– Nie jestem pewna. Właściwie nie mam konkretnego planu. Tak czy inaczej, powinnam poszukać sobie zajęcia. Nie zna pani kogoś, kto potrzebuje ludzi do pracy?

Odstawiła szklanekę na stolik.

– Tak się składa, że owszem. W knajpce w miasteczku szukają kelnerki na poranną zmianę. Serwują śniadania i lunche. Byłam tam niedawno i widziałam ogłoszenie. Poprzednia kelnerka urodziła synka i postanowiła zostać z nim w domu. Lokal nazywa się U Norma i znajdziesz go przy głównej ulicy. Trafisz na pewno. Bardzo tam miło i zawsze tłoczno. Powiedz im, że Anne cię przysłała. – Puściła do mnie oko.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się. – Będę pamiętać.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, popijając herbatę, wsłuchane w cykanie świerszczy. Raz na jakiś czas słyszałam nad uchem bzyczenie komara, z jeziora dobiegały odległe pokrzykiwania żeglarzy, a woda cicho chlupotała o brzeg.

– Spokojnie tu.

– Cóż, kochana, mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje spokoju.

Wypuściłam powietrze i zaśmiałam się cicho.

– Ma pani nosa – powiedziałam. – Wszystko się zgadza.

Ona również się roześmiała.

– Znam się na ludziach. Mój Bill mawiał, że nawet gdyby chciał, nie mógłby mieć przed mną tajemnic. To oczywiście również kwestia miłości i tego, że z czasem ta druga osoba

praktycznie staje się częścią ciebie, a przed sobą nie sposób przecież niczego ukryć. Choć podejrzewam, że niektórzy próbują.

Przekrzywiłam głowę.

– Przepraszam, że pytam, ale jak długo jest pani wdową?

– Och, dziesięć lat już zleciało. A ja nadal za nim tęsknię. – Przez jej twarz przemknęła fala smutku, ale już po chwili wyprostowała się i skinęła głową w stronę mojej szklanki. – Lubił dolewać sobie do herbatki kapkę burbona. Od razu się ożywiał. Oczywiście nie miałam nic przeciwko. Dla mnie to była minutka roboty, a on dzięki temu się uśmiechał.

Właśnie upiłam łyżeczek herbaty i musiałam zasłonić usta, żeby jej nie wypluć. Przełknęłam i dopiero wtedy parsknęłam śmiechem. Anne mi zawtórowała.

Po chwili pokiwałam głową.

– Zdaje się, że w tych sprawach mężczyźni to proste mechanizmy.

– A my, kobiety, szybko się tego uczymy, prawda? – odparła Anne z uśmiechem. – Czeka na ciebie w domu jakiś chłopiec?

Potrząsnęłam głową.

– Nie. Mam kilkoro przyjaciół, ale poza tym nikt na mnie nie czeka. – Gdy tylko wyrzuciłam z siebie te słowa, nagła świadomość tego, jak bardzo jestem samotna, pozbawiła mnie tchunicznym cios prosto w żołądek. Duszką opróżniłam szklankę.

– Muszę iść – oznajmiłam. – Bardzo dziękuję za herbatę i za towarzystwo. – Uśmiechnęłam się do Anne, a ona odwzajemniła się tym samym i również podniosła się z fotela.

– Nie ma sprawy, Bree, wpadaj, kiedy chcesz. Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Dziękuję, Anne. To bardzo miłe. Aha! Czy w miasteczku jest drogeria?

– Owszem, u Haskella. Wystarczy, że pojedziesz przez centrum tą samą drogą, którą tu przyjechałaś, a zobaczysz ją po

lewej stronie. Tuż przed jedynymi światłami, więc trafisz na pewno.

– Dobrze, jeszcze raz dziękuję. – Pomachałam do niej ze schodków.

Kiedy szłam do domu po torebkę, zauważyłam na trawniku samotny dmuchawiec. Schyliłam się, zerwałam go i przyłożyłam do ust, a potem zamknęłam oczy i przypomniałam sobie słowa Anne.

– Spokój – szepnęłam i dmuchnęłam wprost w puchatą kulę. Patrzyłam, jak nasionka dryfują w powietrzu, niesione delikatnym wiatrem, i miałam nadzieję, że zanoszą mój szept do kogoś, kto ma moc sprawiania, by marzenia stały się rzeczywistością.

## BREE

Kiedy dojechałam do cichego, nieco staroświeckiego centrum Pelion, właśnie zaczynało się ściemniać. Większość sklepów i lokali usługowych wyglądała na małe, rodzinne lub jednoosobowe biznesy. Ludzie przechadzali się szerokimi, ocienionymi przez wysokie drzewa chodnikami w rześkim zmierzchu późnego lata. Uwielbiałam tę porę dnia. Było w niej coś magicznego, jakiś rodzaj nadziei, która mówiła: „a jednak udało ci się przeżyć kolejny dzień”.

Wypatrzyłam sklep Haskella i wjechałam na parking po prawej stronie budynku. Wprawdzie sprawunki spożywcze mogły poczekać, ale potrzebowałam kilku podstawowych artykułów. Gdyby nie to, w ogóle bym tu nie przyjechała. Mimo pięciogodzinnego snu byłam zmęczona i marzyłam o tym, by rzucić się z książką na łóżko.

Załatwiwszy zakupy, wracałam do samochodu w gęstniejącym zmroku. Uliczne latarnie oblewały parking marzycielską poświatą. Poprawiłam torebkę i właśnie przekładałam siatkę do drugiej ręki, gdy plastikowe dno nie wytrzymało i zakupy wylądowały na ziemi, a kilka przedmiotów poturlało się po betonie.

– Cholera! – zakląłam, schylając się, by je pozbierać. Wrzucawszy do torebki butelkę z szamponem i drugą, z odżywką, aż podskoczyłam z przestachu, ponieważ zauważyłam kątem oka, że ktoś zatrzymał się obok. Podniosłam wzrok. Nieznajomy mężczyzna podał mi buteleczkę z ibuprofenem, która potoczyła się tuż pod jego stopy. Był młody, miał zmierzwiłone, długie, lekko falujące brązowe włosy, które wołały o wizytę u fryzjera, oraz brodę, która była raczej wynikiem zaniedbania niż dbałości o modny wygląd. Mógł być całkiem przystojny, ale właściwie trudno było to stwierdzić. Miał na sobie dzinsy i opiętą na szerokiej piersi niebieską koszulkę z jakimś spranym, niemożliwym do odcyfrowania nadrukiem.

Wyjęłam fiolkę z lekarstwem z jego wyciągniętej dłoni i wtedy nasze spojrzenia się spotkały. Nieznajomy miał oczy koloru whiskey, o głębokim wejrzeniu, ocienione długimi ciemnymi rzęsami. P i e k n e.

Kiedy tak na niego patrzyłam, poczułam, jak coś przeskakuje w powietrzu między nami, i miałam wrażenie, że gdybym spróbowała to schwycić, napotkałabym dłonią coś miękkiego i ciepłego. Zakłopotana, zmarszczyłam brwi, ale nie potrafiłam oderwać oczu od nieznanego, który tymczasem odwrócił wzrok. Kim jest ten dziwny mężczyzna i czemu wciąż stoję przed nim jak słup soli? Lekko potrząsnęłam głową, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości.

– Dziękuję – bąknęłam.

Nie odpowiedział. Nadal patrzył w bok.

– Cholera – zakląłam pod nosem na widok pękniętej siatki. Nagle z przerażeniem stwierdziłam, że na ziemi leżą rozsypane tampony. J a s i e z a b i j e. Nieznajomy podniósł kilka sztuk i podał mi, a ja błyskawicznie wcisnęłam je do torebki. Zerknęłam na niego, ale jego twarz nie wyrażała żadnej emocji. Po chwili pośpiesznie odwrócił wzrok, a ja poczułam, że się czerwienię. Zdusiłam histeryczny chichot.

– Cholerne foliówki. – Prychnęłam, po czym dodałam: – Nie dość, że szkodzą środowisku, to jeszcze są zawodne.

Nieznamy podał mi batonik Almond Joy oraz kolejny tampon, a ja wrzuciłam je do torebki.

– Chciałam być przykładną obywatelką i używać wielorazowych toreb, kupiłam nawet kilka w ładne wzorki... kropki, kwiatki... – Potrząsnęłam głową, wciskając do torebki ostatni z rozsypanych tamponów. – Ale wiecznie je zostawiałam w samochodzie albo w domu. – Pokręciłam znowu głową, on wręczył mi jeszcze dwa batoniki. – Dzięki – powiedziałam. – Już sobie poradzę. – Machnęłam ręką w stronę ostatnich czterech batoników. – Spojrzałam na niego i znów poczułam napływające rumieńce. – Były w promocji – wyjaśniłam. – Nie miałam zamiaru zjeść wszystkich naraz.

Podniósł je, nie czekając, aż sama to zrobię, ale choć na mnie nie patrzył, mogłabym przysiąc, że dostrzegłam minimalne drgnienie ust. Mrugnęłam, a kiedy otworzyłam oczy, na jego twarzy nie było po nim śladu.

– Lubię mieć w domu czekoladę i raz na jakiś czas zrobić sobie przyjemność. Ten zapas starczy mi pewnie na kilka miesięcy. – Kłamałam. Wystarczy na kilka dni. *J e ś l i d o b r z e p ó j d z i e.* Prawdopodobnie pochłonę kilka już w samochodzie, w drodze do domu.

Mężczyzna wstał, więc zrobiłam to samo, zarzucając torebkę na ramię.

– No dobrze. To dziękuję za pomoc, uratował mnie pan i przy okazji... moje rzeczy... czekoladki, kokos... i migdały... – Parsknęłam krótkim, pełnym zakłopotania śmiechem, ale już po chwili lekko się skrzywiłam. – Wie pan, byłoby świetnie, gdyby się pan nade mną zlitował i wreszcie się odezwał. – Wyszczerezyłam zęby w uśmiechu, ale natychmiast spowaźniałam, kiedy jego twarz jakby się zapadła, oczy zmętniały, a ciepły błysk,

który, gotowa byłam przysiąc, dostrzegłam zaledwie kilka sekund wcześniej, zastąpiła obojętność.

Odwrócił się i zaczął odchodzić.

– Niech pan poczeka! – zawołałam, ruszając za nim. Po chwili się zatrzymałam i marszcząc brwi, patrzyłam, jak się oddala, na jego pełne gracji ruchy, gdy przyspieszył kroku i truchtem wybiegł na ulicę. Gdy ją przeciął i zniknął mi z oczu, ogarnęło mnie niejasne poczucie straty.

Wsiadłam do samochodu i przez kilka minut siedziałam nieruchomo, rozmyślając nad dziwnym spotkaniem. Wreszcie zapuściłam silnik i właśnie miałam uruchomić spryskiwacz, kiedy zauważyłam coś na przedniej szybie. Pochyliłam się, by przyjrzeć się temu bliżej. Szkoło oblepione było nasionkami dmuchawca. Powiał lekki wietrzyk i porwał ich puchate końce. Nasionka wzbily się w powietrze i pofrunęły w kierunku, w którym udał się nieznajomy.

\*

Następnego ranka obudziłam się wcześniej. Wstałam, odsunęłam rolety i spojrzałam na jezioro. Poranne słońce odbijało się od tafli wody ciepłym, złocistym blaskiem. Jakiś duży ptak poderwał się do lotu, a blisko przeciwległego brzegu majaczyła łódka. O tak. Mogłabym się do tego przyzwyczaić.

Phoebe zeskoczyła z łóżka i przysiadła u moich stóp.

– Co ty na to, mała? – szepnęłam.

Ziewnęła.

Wzięłam głęboki, uspokajający oddech.

– Nie dziś rano – szepnęłam. – Dziś rano wszystko jest w porządku. – Powoli ruszyłam do łazienki, nieco rozluźniona, a w moim sercu z każdym krokiem wzbierała nadzieja. Ale kiedy odkręciłam kurek prysznic, błysnęło mi przed oczami



i szum wody przeszedł w stukot deszczu. Struchlałam z przerażenia. Gruchnął grzmot i poczułam dotyk zimnego metalu na nagiej piersi. Twarda lufa brutalnie trącała mój sutek, stwardniały od przenikliwego chłodu, a w mojej głowie rozbrzmiał przeraźliwy zgrzyt, przywodzący na myśl gwałtowne hamowanie pociągu. O Boże! O Boże! Wstrzymałam oddech w oczekiwaniu na strzał, a w moich żyłach zamiast krwi popłynęło lodowate przerażenie. Starałam się myśleć o ojcu, leżącym za ścianą w kałuży krwi, ale strach o własne życie tak mnie sparaliżował, że nie byłam w stanie skupić się na niczym innym. Rozdygotana, słyszałam tylko deszcz, bębniący bezlitośnie o...

Na zewnątrz trzasnęły drzwi samochodu. Wróciłam do rzeczywistości. Stałam przed kabiną, a u moich stóp zbierała się kałuża wody z odkręconego prysznica. Gorzka żółć podeszła mi do gardła i w ostatniej chwili zdążyłam się odwrócić do muszli klozetowej. Kiedy skończyłam wymiotować, osunęłam się na podłogę i przez kilka minut siedziałam, usiłując odzyskać kontrolę nad ciałem. Zaciśnęłam powieki i policzyłam wspanak od stu do jednego. Potem wzięłam głęboki wdech i dźwignęłam się z podłogi. Chwyciłam ręcznik i zabrałam się do wycierania rosnącej przed brodzikiem kałuży wody.

Zrzuciłam ubranie i weszłam pod ciepły strumień. Odchyliłam głowę do tyłu i zamknęłam oczy, usiłując rozluźnić mięśnie i powstrzymać niekontrolowane drżenie całego ciała.

– Już dobrze, już dobrze, już dobrze – powtarzałam. Będzie dobrze, wierzyłam w to, ale jak zwykle minęła dłuższa chwila, zanim otrząsnęłam się z wrażenia, że znów jestem tam, w tym momencie obezwładniającej rozpacz i przerażenia. Bywało, że mijało kilka godzin, a mimo to smutek nigdy całkowicie nie znikał.

To wspomnienie nawiedzało mnie każdego ranka, a każdego wieczoru znów czułam się silniejsza. Ilekroć wstawał świt,

karmiłam się nadzieją, że to będzie właśnie ten dzień, który przyniesie wyzwolenie, i że przetrwam go bez przytłaczającego ciężaru tamtej nocy, która na zawsze oddzieliła przeszłość od teraźniejszości.

Wyszłam spod prysznica. Przeglądając się w lustrze, stwierdziłam, że wyglądam dziś lepiej niż zwykle po przebudzeniu. Choć zmiana otoczenia nie przyniosła spokoju, tej nocy spałam dobrze, co przez ostatnie pół roku nie zdarzało się zbyt często, i poczułam swoiste zadowolenie, które przypisałam kojącym dźwiękom płynącym zza okna sypialni. Cóż może być przyjemniejszego od plusku fal podchodzących łagodnie pod piaszczysty brzeg? Z pewnością prędzej czy później ten spokój przesączy się do mojej duszy albo przynajmniej pomoże mi odzyskać tak bardzo potrzebny sen.

Wróciłam do sypialni i ubrałam się w oliwkowe szorty oraz czarną koszulową bluzkę z podpinanymi rękawami. Musiałam dziś dobrze wyglądać. Miałam zamiar odwiedzić wspomnianą przez Anne knajpkę w miasteczku, żeby zapytać o ofertę pracy, która – miałam nadzieję – wciąż była aktualna. Wysuszyłam włosy i zrobiłam delikatny makijaż, po czym włożyłam czarne sandały i wyszłam z domu. Ciepłe poranne powietrze pieściło mi skórę.

Dziesięć minut później zaparkowałam na krawężniku przed restauracją U Norma. Wyglądała na typową niedrogą jadłodajnię, jakich wiele w małych miasteczkach. Zajrzałam przez okno. Choć była dopiero ósma rano, lokal był już w połowie pełny. Za szybą nadal tkwiła kartka z napisem „Zatrudnimy kelnerkę”. Hura!

Kiedy otworzyłam drzwi, powitał mnie zapach kawy i bekonu oraz gwar rozmów i wybuchy śmiechu.

Przebiegłam salę i zajęłam miejsce przy barze, obok dwóch młodych kobiet w wystrzępionych dżinsowych szortach. Kiedy

usiadłam na obrotowym stołku z czerwonym winylowym obiciem, dziewczyna siedząca bliżej spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Dzień dobry – pozdrowiłam ją.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

Sięgnęłam po kartę. Kelnerka, starsza kobieta o krótko ostrzyżonych siwych włosach, kartkująca notes z zamówieniami przy okienku do wydawania potraw, spojrzała na mnie przez ramię.

– Już podchodzę, skarbie.

Wyglądała na zabieganą. Choć połowa stolików wciąż świeciła pustkami, była najwyraźniej jedyną obsługującą i chyba z trudem nadążała za rosnącą stertą zamówień. Poranni klienci zawsze liczą na szybką obsługę, bo nie chcą się spóźnić do pracy.

– Proszę się nie śpieszyć – uspokoiliłam ją.

Po kilku minutach, obsłużwszy część stolików, podeszła do mnie i odrobinę roztargnionym tonem zapytała:

– Kawy?

– Poproszę. Widzę, że ma pani duży ruch, więc nie będę wydziwiać i po prostu zamówię trójkę.

– Niech panią Bóg błogosławi, kochana. – Roześmiała się. – Coś mi mówi, że pracowała pani jako kelnerka.

– Tak się złożyło – potwierdziłam z uśmiechem. – Wiem, że to nie najlepszy moment, ale widziałam kartkę w oknie i...

– Serio? – przerwała mi. – Od kiedy może pani zacząć?

– W każdej chwili – odparłam ze śmiechem. – Mogłabym wpaść później i wypełnić formularz kwalifikacyjny...

– Nie ma potrzeby. Ma pani doświadczenie i potrzebuje pracy, więc właśnie ją pani dostała. Oczywiście zapraszam później, wypełnimy wszystkie papierki, ale Norm jest moim mężem, więc mogę zatrudniać, kogo chcę, i właśnie panią zatrudniłam. – Wyciągnęła rękę. – A tak przy okazji, nazywam się Maggie Jansen.

– Bree Prescott. Bardzo pani dziękuję.

– Kochana, właśnie poprawiłaś mi humor z rana! – zawołała, przechodząc na drugą stronę baru, żeby napełnić kawą filiżanki pozostałych klientów.

To była najłatwiejsza rozmowa o pracę, jaką w życiu odbyłam.

– Jesteś tu nowa? – zapytała tymczasem siedząca obok dziewczyna.

Odwrociłam się do niej z uśmiechem.

– Tak. Właściwie to wprowadziłam się wczoraj.

– W takim razie witamy w Pelion. Nazywam się Melanie Scholl, a to moja siostra Liza.

Dziewczyna z prawej strony wychyliła się i wyciągnęła do mnie rękę.

– Bardzo mi miło was poznać – powiedziałam, ściskając jej dłoń. Zauważyłam, że spod ich bawełnianych topów wystają wiązania kostiumów kąpielowych. – Jesteście tu na wakacjach?

– O nie. – Melanie się roześmiała. – Pracujemy po drugiej stronie jeziora. W sezonie jako ratowniczkę, a na zimę wracamy do rodzinnej pizzerii.

Skinęłam głowę, popijając kawę. Uznałam, że są mniej więcej w moim wieku. Liza wyglądała na młodszą z sióstr. Ich rudobrzowe włosy i duże niebieskie oczy zdradzały rodzinne podobieństwo.

– Gdybyś miała jakieś pytania na temat życia w miasteczku, wal do nas jak w dym – zaofiarowała się Liza. Znamy wszystkie plotki. – Puściła do mnie oko. – Powiemy ci, z kim się umawiać na randki, a kogo lepiej unikać. W zasadzie poznałyśmy już wszystkich facetów po obu stronach jeziora, więc uwierz mi, jesteście kopalnią informacji.

Zachichotałam.

– Jasne, zapamiętam. Cieszę się, że was spotkałam. – Właśnie miałam się odwrócić, kiedy nagle coś mi się przypomniało. – Hej, właściwie to chciałam was o kogoś zapytać. Wczoraj

wieczorem rozsypałam zakupy na parkingu przed drogerią i jakiś człowiek pomógł mi je pozbiierać. Młody, wysoki, smukły, dobrze zbudowany, ale... Nie wiem, nie odezwał się ani słowem... I strasznie był zarośnięty...

– Archer Hale – przerwała mi Melanie. – Prawdę mówiąc, jestem w szoku, że zatrzymał się, żeby ci pomóc. Zazwyczaj na nikogo nie zwraca uwagi. – Po chwili milczenia dodała: – Ani nikt na niego, jeśli mam być szczerą.

– Nie wiem, chyba nie miał wyboru – stwierdziłam. – Parę rzeczy poturlało mu się prosto pod nogi.

Melanie wzruszyła ramionami.

– Mimo wszystko to się nie zdarza, wierz mi. Zresztą podejrzewam, że on może być głuchy. Dlatego nie mówi. Kiedy był mały, przeżył wypadek. Miałyśmy wtedy pięć i sześć lat, to się zdarzyło na autostradzie, tuż za miastem. Zginęli rodzice Archera i jego wujek, szef policji. Domyślam się, że właśnie wtedy stracił słuch. Mieszka na końcu Briar Road. Drugi wujek, z którym dorastał i który uczył go w domu, umarł kilka lat temu. Od tego czasu Archer mieszka sam. Póki ten drugi wujek żył, chłopak w ogóle nie pojawiał się w miasteczku. Teraz widujemy go od czasu do czasu, ale i tak straszny z niego odludek.

– Cholera. – Zmarszczyłam brwi. – Smutna historia.

– Faktycznie – stwierdziła Liza. – Widziałas, jakie ma ciało? Oczywiście to sprawa genów. Gdyby nie był taki aspołeczny, z chęcią bym go zaliczyła.

Omam nie oplułam się kawą. Melanie wywróciła oczami.

– Już ja cię znam, ty franco mała – rzuciła z rozbawieniem. – Zaliczyłabyś go tak czy inaczej, gdyby tylko zechciał na ciebie spojrzeć.

Po chwili zastanowienia Liza potrząsnęła głową.

– Wątpię, czy w ogóle wie, co robić z tym swoim boskim ciałem. Wielka szkoda.

Melanie zerknęła na zegar.

– Cholera, spóźnimy się. Musimy lecieć. – Wyjęła portfel. – Mags, zostawiam kasę na barze!

– Dzięki, skarbie! – odkrzyknęła Maggie w przelocie.

Melanie nabazgrała coś na serwetce.

– To nasz numer – powiedziała. – Planujemy babski wieczór po drugiej stronie jeziora. Dołączysz?

Przyjęłam serwetkę.

– Hm, kto wie. – Uśmiechnęłam się i na drugiej serwetce zapisałam swój numer telefonu. – Dzięki. Jesteście bardzo miłe.

Zaskoczyło mnie to, jak bardzo rozmowa z dwiema dziewczynami w moim wieku poprawiła mi humor. Może to właśnie jest najważniejsze, pomyślałam, żeby pamiętać, że przed tą tragedią miałam przyjaciół i własne życie. Łatwo się poddać wrażeńiu, że całe moje istnienie zaczęło się i skończyło tamtego straszego dnia. Ale to nieprawda. I powinnam jak najczęściej sobie o tym przypominać.

Oczywiście w ciągu tych kilku miesięcy po śmierci taty znajomi kilka razy próbowali wyciągnąć mnie z domu, ale ja nigdy nie miałam na to ochoty. Może wyjście gdzieś z ludźmi, którzy nie wiedzą, co przeżyłam, będzie lepsze – w końcu czy nie po to właśnie wybrałam się w tę podróż? Żeby uciec na jakiś czas? Z nadzieją, że zmiana miejsca zagoi rany? I że nabiorę sił, by znowu móc mierzyć się z życiem?

Liza i Melanie wyszły z restauracji, machając na pożegnanie znajomym przy stolikach. Po chwili Maggie postawiła przede mną talerz z parującym daniem.

Jedząc, rozmyślałam o tym, co nowe znajome opowiedziały mi o człowieku, który nazywał się Archer Hale. Teraz wszystko nabrało sensu – był głuchy. Zastanawiałam się, czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy. To dlatego się nie odezwał. Z pewnością potrafił czytać z ruchu warg, a ja go obraziłam, robiąc

mu wymówki. To dlatego sposepniał i odszedł. Skuliłam się ze wstydu.

– Po prostu świetnie, Bree – mruknęłam.

Kiedy znów go zobaczę, muszę go przeprosić. Byłam ciekawa, czy zna język migowy. Muszę mu powiedzieć, że jeśli chce, możemy porozmawiać. Potrafiłam migać – mój tata był głuchy.

Było w Archerze Hale’u coś, co mnie intrygowało – czego jednak nie potrafiłam określić. Nie chodziło o to, że nie słyszał ani nie mówił, choć z tą akurat niepełnosprawnością łączył mnie osobisty związek. Przez kilka chwil głowiłam się nad możliwym powodem, ale nic nie przychodziło mi na myśl.

Skończyłam śniadanie, a kiedy poprosiłam o rachunek, Maggie machnęła ręką zniecierpliwiona.

– Personel je za darmo – oznajmiła, dolewając kawy jednemu z klientów przy barze. – Wpadaj, kiedy ci wygodnie, załatwimy wszystkie papiery.

Uśmiechnęłam się.

– W porządku. Do zobaczenia po południu. – Zostawiłam na barze napiwek i ruszyłam w stronę drzwi. Całkiem nieźle. Po jednym dniu mam gdzie mieszkać, dostałam pracę, zawarłam sztamę z sąsiadką, a na dodatek być może znalazłam nowe koleżanki. Wróciłam do auta wyjątkowo sprężystym krokiem.